

Od autora: Amerykańskie kino drogi w poszukiwaniu... a czego, to się dowiecie, kiedy przeczytacie ten kawałek. Stylizacja językowa celowa. Napisałem zainspirowany po raz kolejny prozą Bukowskiego. Będzie się działo. Zapraszam do wspólnej jazdy :) Ready, steady, go!

Sacramento, California, 24 kwietnia 1966

Marlon Cibkovsky właśnie był niezwykle zajęty, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

Starannie, aczkolwiek bardzo dynamicznie wykonywał powszechnie znane czynności, zapoczątkowane przez biblijnego Onana, patrząc bezrozumnym wzrokiem na lichego świerszcza z cycatą Latynoską, która ostro przeżyła się na leżaku, postawionym nad przepaścią.

- Że też się nie boi, kurde... - stęknął głucho.

Pukanie upierdliwie dawało znać o sobie, podobnie jak nadchodzący, burzliwy orgazm, a trzeba zaznaczyć, iż był on jak tsunami: potężna porcja gęstego nasienia, wystrzelona pod niebywałym ciśnieniem zwałiła z telewizora małe, czarno-białe zdjęcie Rolling Stonesów z 1964, oprawione w liche, plastikowe ramki, rodem z podrzędnego supermarketu, które z suchym, przenikliwym trzaskiem potoczyło się sromotnie pod szafę.

- W mordę jeża...

- Puk puk – ktoś nie miał litości i nie zamierzał odpuścić.

- Gorzej?

- Puk puk – dźwięk mierzył czaszkę.

Wyrwany ze słodkiej euforii poszedł do łazienki, urwał kawałek kwiecistego, niewybaczalnie miłego kolorystycznie papieru toaletowego i stanowczo wytarł nim wilgotną główkę – nie lubił wielkich, wyrazistych plam na spodniach, zwłaszcza jasnych.

Wiosna obnaża niedoskonałości.

- A pieprzyć Fidela – powiedział pod nosem.

- A pieprzyć... - powtórzyło echo czterech ścian.

Otworzył.

W progu stała jego siedemdziesięcioletnia matka, kobieta pomimo wieku krewka i skora do awantur.

- O, mamusia! – przy kobietach zawsze panował nad wulgarnym i prostackim językiem.

- Prowadź mnie do środka! – zawołała pani Cibkovsky, po czym prężnym krokiem pełnym zdecydowania ruszyła ku jadalni.

Opadła na fotel i syknęła:

- Kiedy, ty konusie?

- O co mamie chodzi?

- Kiedy założysz rodzinę? Kiedy znajdziesz żonę i wypełnisz ją dziećmi? Niedawno stuknęła ci czter-

dziestka.

- A o to chodzi...
- Johnny Michalsky w wieku pięćdziesięciu lat znalazł miłość swego życia.
- Zapewne dostał cieśni nadgarstka od onanizmu.
- Jego ojciec pochodził z Polski. To taki piękny kraj nad Dnieprem, znany ze spływów gondolami.
- Aha. Rozumiem. To mówi samo za siebie.
- Daję ci pół roku. Potem wydziedziczę jak zapchlonego psa, jasne, miglancu?
- Tak jest, mamó. Przyjąłem do wiadomości.
- Dom, działka i mój kabriolet pójdzie w łapy Pippo, choć serce będzie wyło, że nie w twoje.
- Przecież on się wzenił w naszą rodzinę! To niesprawiedliwe!
- Robi mi raz na tydzień zakupy i kosi trawnik. A ty, fagasie jeden, co matce pomogłeś?
- Moje interesy ostatnio szły lichó...
- Ty mi tu nie pieprz, bo zaraz wymienię z tobą uwagi o pogodzie. Twój świętej pamięci ojciec na plaży Omaha miotaczem ognia usmażył cały bunkier pełen Szkopów, a ty ciągle biegasz w krótkich spodenkach? Dość tego! Zdania nie zmienię – masz znaleźć żonę!

Montgomery, Alabama, 1 maja 1966

- Zalać do pełna? – spytała opalona na mahoń laska, pracująca w weekendy na stacji benzynowej u „Gorrrącej Betty”, gdzie można było zjeść świeże mięso z grilla i zaliczyć ostre pukanie, bo właścicielka była obrotną burdel mamą, więc wici rozchodziły się z prędkością światła po okolicznych wioskach, że to klawy adres, ale nie o to przecież chodziło Marlonowi, nie o to.
- Szukam żony – powiedział poważnie, gapiąc się na falujący biust.
- A co uciekła od ciebie, przystojniaczku?
- Jeszcze jej nie poznałem.
- Aż tak źle?
- Tak.
- Mogę ci obciągnąć za dziesięć dolców.
- Mam sprawne dłonie.
- To czego tu szukasz?
- Mówiłem: żony.
- Ostatni z wielkich romantyków?
- Jak dotąd praktykowałem stylowe cipkarstwo. Ale nic nie trwa wiecznie. Czasem trzeba zrzucić skórę jak jaszczurka.
- Krótki kaszel i pozamiatane?
- Masz jakieś namiary? Jeżdżę po całych Stanach i szukam. Mam mało czasu. Nie mogę wrócić na chatę bez żony, czujesz? To mnie przerosło. Stoję pod murem. Tyle.
- Może skocz do chłopaków.
- Jakich chłopaków?
- A takich, różnych – i mówiąc to, powiedziała, jak tam dojedzie.
- Każdy trop wart sprawdzenia – powiedział, wsadzając jej banknot między cycki.

Menażeria była zaiste kolorowa i nader osobliwa: byli tam kaskaderzy, śpiewacy operowi, bokserzy, przybłędy, hrabiowie, aktorzy, mimowie, poławiacze krewetek, stolarze, dentyści, kierowcy ciężarówek, wróżbici, zbieracze truskawek, zawodowi szulerzy, tancerze, zakręceni autorzy lichych opowiadań, pospolite nieroby i inni, nawiedzeni ludzie.

Dookoła panowała atmosfera wiecznej fiesty, bez względu na warunki pogodowe i chwilowe braki tanich

alkoholi. Liczył się „feeling”. A jego zawsze było w bród.

- Zapraszamy do wspólnej zabawy! – zawołał podchmielony, nieogolony młokos o rozbieganych, kaprawych oczkach, dziarsko pijący z gwinta.

Towarzystwo potężnie falowało, gawędziło na sto głosów i piło, co popadnie. Wina, piwo, wódkę, brandy, spirytus, perfumy, nalewkę na porost włosów, kropelki nasercowe. Wszystko oprócz wody. Wodę piją chorzy i starcy, oraz ludzie z kamicą nerkową. Tu takich nie było. Ekipa spijała się radośnie w świetle słońca i wśród wierszy początkujących poetów, zamroczonych alkoholem, a więc prawidłowo nastawionych do recytacji swych utworów.

Istnieje typ ludzi, którzy jeśli się nie napiją, nic im nie wyjdzie.

To poeci – oni po trzech piwach napiszą arcydzieło.

Nagle z tłuszczy wyłonił się kościsty blondyn i zapytał:

- Gotowi?

- Dawaj, dawaj! – rozległo się gromkie przyzwolenie.

I wypowiedziawszy te słowa złapał jakąś kartkę i utkwiał w niej ogniste spojrzenie.

Po chwili już czytał:

*ciągle jestem w kontakcie
ze zbrodniami mojego pokręconego ducha
choć zostawiłem je za sobą
stworzyły tkankę jestestwa
stały się czarną krwią
która zbyt szybko krąży w żyłach*

*jestem jak nagi bóg
który zwariował
we własnym niebie*

*bo mój umysł jest zbyt wysublimowany
by odróżnić dobro od zła*

Kiedy skończył, tłumek ożywił się.

Podobało się.

Poeta nie został odrzucony – każdy rozumny pojął go bez szwanku na duszy.

Choć pijani w sztok, docenili jego sztukę.

- Brawo! – wrzasnął ktoś zniecierpliwiony.

- Super! – powtórzył inny głos.

- Nie może być! – zapiał jakiś cienki falset.

- To mój trzeci wiersz – powiedział Yuri Goovienko, emigrant spod Moskwy.

- Wymiatasz, człowieku, po prostu kilerskie – wszedł w gadkę Marlon.

- Pierwszy raz nad rzeką? – spytał poeta.

- Jestem przejazdem. Szukam żony.

- To, kurwa, źle trafiłeś, tu same samce – zarechotał oddolnymi partiami podbrzusza Yuri.

- Może któryś zna jakąś sensowną suczkę?

- A coś ty taki homo ledwie sapiens? A rączka od czego?

- Ile można, panowie. To jak: znacie kogoś?

- Tu same kurwiszcza, stary, jedź dalej, bo spadłeś, zdaje się, z deszczu pod rynnę.

- Ale laska na stacji benzynowej...
 - Belinda? Każdy ją tu pukał. Przypadek kliniczny. Obsłuży nawet własnego dziadka.
 - A wasze siostry, koleżanki?
 - Odpuść. Nie wyjdzie ci nic z tego, choćbyś się zesrał na kwadratowo.
 - Jestem bogaty.
 - A ja garbaty – zaśmiał się łysawy pokurcz na cienkich nóżkach.
 - Coś mi się widzi, że zalewacie moczem. Takie ostre chłopaki? Coś wam się we mnie nie podoba? No, śmiało, coś nie podchodzi?
 - A pędź bizony, kolo, bo kopa zapodam. Krzywy lans wał swojej starej – rzekł ponuro Yuri.
 - Możesz mi naskoczyć, kmiecie z woskiem w uszach, i wałnąć kankana – palnął Marlon.
 - Spierdalaj, bo będą bęcki.
 - Ciule skurwiale, pijaczki zasmarkane.
 - Chłopaki, brać go! – zawołał poeta, ale wkrótce po tym, jak to zrobił, nasz bohater był już w samochodzie i wiał nim, gdzie pieprz rośnie – instynkt samozachowawczy zwyciężył.
- Na szczęście faceci są jak grzyby – każdy kozak.

Honolulu, Hawaje, 17 czerwca 1966

Radośnie goszczony przez pewną niezwykle towarzyską i otwartą, hawajską rodzinę, oddawał się rozkoszom konsumpcji. Właśnie trwała luau, prawdziwa uczta, w trakcie której na stole pojawiły się smakowite, lokalne ryby takie jak: ono, mahi-mahi i lomi-lomi, w połączeniu z taro, co razem z ulu, pieczonymi owocami drzewa chlebowego, kulolo, czyli puddingiem z kokosa i liści taro oraz loco moco, a więc ryżem, jajkiem sadzonym i sosem gravy, dawało raj dla podniebienia, nie mówiąc o poprawce w postaci pipikuli – befsztyku wołowego plus krewetki i ostrygi, bowiem mieszano tu dowolnie mięsa i ryby. By w ustach nie zaschło, gospodarz szczerze polewał Sailor Jerry Rum, czterdziestowoltowy alkohol, co oznaczało ni mniej, ni więcej zacny trunek, w którego zapachu dominuje na ogół intensywna wanilia, maślane toffi oraz nuty cynamonu. W smaku zaś ciepłe przyprawy takie jak cynamon i gałka muskatołowa z bogatym dodatkiem wanilii i z odrobiną wiśni. Długo spływa po gardle, wyważony, z przytłumioną słodyczą.

- Pan jest bardzo miły, panie Cibkovsky. Dziś rzadko kto podrzuca „na stopa”.
- Ja się tam nie boję. A poza tym lubię ludzi. Może kiedyś ja będę potrzebował podwózki?
- Tak, życie to chodzenie w szklanych butach – mogą się pewnego dnia potłuc...
- Szukam żony.
- Czyżby zaginęła? – zapytała z troską w głosie rodzina de Frutti.
- Wręcz odwrotnie: wciąż jej nie znam.
- To dość niezwykła sytuacja, nieprawdaz?
- Dość, że tak powiem. Czas mnie nagli, a tu dupa...
- Że co?
- Impas.
- Może Minnesota Fred panu pomoże.
- A kto to, jeśli można wiedzieć?
- On zna wszystkich i wie o wszystkim. Jeśli on nie da rady, to...
- Jasne. A gdzie mieszka?

Kiedy Marlon podszedł do baraku, spowitego kwaśnym i dusznym odorem rzadkiej sraki, na którym namalowany czerwoną farbą widniał krwisty sierp i młot, usłyszał piosenkę śpiewaną nerwiście i z drżeniem, przy akompaniamencie gitary:

El ejército del Ebro
Rumba rumba rumba la
El ejército del Ebro
Rumba rumba rumba la
Una noche el río paso
Ay Carmela, ay Carmela
Una noche el río paso
Ay Carmela, ay Carmela
Pero nada pueden bombas
Rumba rumba rumba la
Pero nada pueden bombas
Rumba rumba rumba la
Donde sobra corazón
Ay Carmela, ay Carmela
Donde sobra corazón
Ay Carmela, ay Carmela

- Co ty, kurwa, Hiszpan jesteś czy jak? – zapytał, gasząc butem kiepa.
- A było się tu i ówdzie. Jebało się faszystów.
- Jakich faszystów?
- A ludzi Franco.
- To byli nacjonaliści, nie faszyści, coś ci się pogrzało.
- Tylko Bóg, Bóg, Bóg.
- Nie zabronisz nikomu, tak jak tobie nikt nie zabroni walenia porannej gruchy.
- Ale...
- Wtedy każdy, kto nie był komunistą, był faszystą.
- Cały świat tam przyjechał, by walczyć o słuszną sprawę.
- Co ty pierdolisz? Jaki świat? Ludzie Stalina i międzynarodowe komuchy. Wtedy co trzeci Hiszpan gadał po rosyjsku, nie wiesz o tym? Faszyzm to miałeś u Adolfa. Franco po prostu nie chciał zostać kolejną republiką radziecką.
- Co nasze, to nasze.
- Co masz na myśli?
- A ile tych księżulów i zakonnic zakatrupiłem, to moje.
- I do figur też strzelałeś, co? I srałeś w kościołach?
- Jasne, człowieku, codziennie.
- To po cholerę żyjesz w Stanach?
- Bo tam mnie nie kupią.
- Oczywiście. Towarzysz Chruszczow, skoro żeś żył w Stanach, uzna cię za szpiega i czeka cię drewniane kimono.
- Ale może do Polski?
- Tak. Do Polski możesz spróbować. Tylko nie mów, że gwałciłeś zakonnice. I kastrowałeś braci zakonnych.
- Jak u Franco?
- Tak. Tam też mają poczucie sprawiedliwości.
- To gdzie mam spierdalać, bo, w mordę, mam pietra.
- A na Madagaskar chociażby.
- A co to?

- A nie wiem.
- To po co mi radzisz?
- Bo tam nie było komunistów i nacjonalistów. Może ci jaj nie odgryzą.
- Ale skoro Hemingway...
- Papa był cyklofrenikiem i często nie kumał, że kuma. Myślał, jak tu zaptaszyć i zalać pałę. Reszta była mało ważnym dodatkiem.
- Ale ja jebałem ludzi Franco. Boję się dziś zemsty.
- A to było zamiast tego robić na drutach.
- To poszło samo.
- To niech ci teraz samo drugim końcem wyjdzie.
- A łatwo gadać. Chyba mnie podsłuchują, śledzą, obserwują przez lornetki...
- Sprawdź, czy nie masz kamery w sracu, jak walisz kloca. Może i tam są.
- I coś każe mi śpiewać w kółko „Ay, Carmela, ay, Carmela”.
- Odwaliło ci, komunisto z trzeciego tłoczenia.
- Ale Lenin miał rację...
- A chuja tam miał. Zdechł na syfa i do dziś po nim zajeżdża. Zwalaj gdzieś, gdzie ci łba nie urwą.
- A co powiesz na Turcję?
- Ale to islam. Możesz jako komuch mieć tam w dupę.
- Alaska?
- Jasne, kolo. W krainie lodu i śniegu zapomnisz o Franco i nacjonalizmie, łeb ci się ochłodzi, a kolesie z Hiszpanii chyba odpuszczą, więc to raczej dobra opcja.
- Dzięki za radę.
- A wal się.
- Ale Lenin podobno żyje.
- Pogrzało ci się z Elvisem.
- A kto to?
- A król rock’n’rolla.
- Czego?
- Udało ci się jakoś skończyć podstawówkę?
- Nie.
- Więc nie pytam, gdzie znaleźć żonę.

Little Rock, Arkansas, 3 lipca 1966

Wodził bezwiednie wzrokiem za prostytutkami i patrzył, jak prężą się i wdzięczą do przypadkowych przechodniów. Były groteskowe i tragiczne. Nie potępiał ich. Ale też nie rozgrzeszał, ani nie darzył zrozumieniem. Ot, zwiędłe kwiaty, zdziczała odrośl zdrowego drzewa, chwasty na pięknej łące ludzkich spraw, namiętności i radości.

- Chcesz spróbować zakazanej miłości, mały? – spytała nagle jakaś przekwitła starucha o mocno przerzedzonych zębach i ostrym makijażu na starczej, pomarszczonej facjacie.

Wzdrygnął się odruchowo.

- Nie, dziękuję – odparł automatycznie.

- Mój alfons, Teddy, da ci upust, a następnym razem zapłacisz pół ceny. Wchodzisz w to?

- Nie.

- Jestem naprawdę dobra. Całe życie w tym fachu. Pomyśl, o czym mowa.

- Ja naprawdę jestem tu przypadkiem, proszę pani.

- To wypieprzaj stąd, skoro nie przyszedłeś pochędożyć jak mężczyzna. Mogłabym być twoją babcią, nie-

wolniku rączki.

- A skąd pani wie, że jestem niewolnikiem rączki? – spytał.

- Bo wyglądasz, jak oni wszyscy. Wszyscyście tacy sami. Oczka rozbiegane, pusto w kieszeni, a z kobietą to by taki pofiglował, ale wiatr mu hula w portfelu, ha, ha! – zarechotała ochryple starucha i poprawiła podartą podwiązkę.

- Może i wyglądam, ale nie skorzystam – rzekł twardo.

- A jak chcesz, chłoptasiu. Przyjdzie Teddy, zobaczy, że nie ma zabawy, to jeszcze brzytwą dostaniesz. On nie lubi takich dupków, jak ty, mały, więc lepiej zwijaj się stąd, bo będzie lichy. On nie żartuje. Ma znajomości na górze...

- Na jakiej górze?

- Wśród diabłów i potępieńców. Oni dają mu siłę, by był tak twardy, jak jest na co dzień.

- O czym pani plecie? – spytał zaniepokojony.

- Tylko nie plecie, kurduplu jeden. On jest tu pan, a ty cham, jasne? Jak cię złapie, to pocałuj go w sygnet, a puści cię wolno. Ma gest. Szeroki. Myślę, że chwytasz, co gadam.

- Powiedzmy.

Był w najpodlejszej, najbardziej zdemoralizowanej dzielnicy w mieście, pełnej wszelakiego plugastwa i obsceniczności, gdzie lepiej było wcale nie przychodzić, chyba że ktoś szukał płatnej miłości lub ciężkich kłopotów.

- Już pójdę. Na pewno już pójdę. I tak byłem tu za długo.

I wypowiedziawszy te słowa, ruszył przed siebie.

Nagle, gdzieś za plecami, usłyszał kogoś, kto najprawdopodobniej biegł.

Odwrócił się i wówczas zderzył się z wysokim mężczyzną.

Upadł, i kiedy próbował się podnieść, tamten przygniótł go i powiedział:

- Nie zerznąłeś tej starej Klotyldy?

- Nie, nie rznąłem tej nocy nikogo.

- Brawo! Co za strzał! Kto by to pomyślał. U nas czasem jajca lecą na chodnik...

- Jak to lecą? Co to za gadka, koleś?

- Jestem Teddy. Facet, który może cię posłać do piachu, mój słodki. Lubię robić to brzytwą. Jestem dobry w te klocki. Kocham zapach krwi, wali mnie to, wali mnie to, jakbym pukał dziewicę. Wtedy mój towar się nie marnuje.

- A kiedy się marnuje?

- Kiedy pukam po bożemu.

- To wsadź komuś w zadek.

- Podoba mi się twój sprzeciw, podniecasz mnie.

- Chcesz mi possać?

- Może.

- Wciskasz mi jakieś kiwane sensory.

- Jestem biseksem.

- Księżniczka atrakcyjna od zaraz?

- Właśnie kogoś załatwiłem. Stoi mi. Dam ci dwieście baksów. Muszę spuścić z krzyża.

- To już nie mój biznes. Ja też mam kosę w kieszeni – i mówiąc to, Ciblovsky nie kłamał – podczas swojej niepowtarzalnej podróży nie rozstawał się z nożem sprężynowym, który otrzymał w prezencie od kolegi komandosa. – Kto cię strugał, koleś?

- Co?

- Ciulów sto!

- Z lokówką w dupie...
- Ty mnie nie strasz, bo się zesrasz. Chcesz poczuć kosę, alfonsie? Dam ci szansę. Macie tu porządne kobiety?
- Że co?
- Że porządne, głuchy?
- Nie. Tu takich nie ma.
- Nie znajdę tu żony?
- Ha ha ha!
- Kolejne gówno na mapie?
- Ty uważaj.
- Morda, kajdaniarzu! – i zapodawszy solidnego kopa, który posłał Teddy'ego twarzą w sąsiednią kałużę, poszedł spokojnie do samochodu, by ruszyć w drogę, czas to pieniądz.

Frankfort, Kentucky, 26 sierpnia 1966

- To piękne, moralnie prowadzące się miasto, panie Cibkovsky – rzekł radośnie puciołowaty, gładko ogolony policjant, który zatrzymał go do rutynowej kontroli drogowej. – Wszystko wskazuje na to, że ma pan wszelkie szanse, by odnaleźć tu miłość życia – dodał, nawiązując do standardowego pytania naszego bohatera.
- Po to tu przyjechałem.
- Odważnym los sprzyja.
- W moim przypadku to się jakoś nie sprawdza.
- Proszę być dobrej myśli.
- Jasne. To mnie na szczęście nie opuszcza.
- A w wolnej chwili polecam spróbować naszego lokalnego specjału, czyli Kentucky Bourbona.
- Nie omieszkam.

Po tym, jak zainstalował się w lichym, trzeciorzędnym motelu o szpetnej nazwie „U Czerczila”, snuł się ulicami Frankfort i czujnie wypatrywał okazji, by spełnić życzenie swej czcigodnej matki, ale tego dnia nic się nie wydarzyło. Następnego też nie. Po tygodniu zaczął poważnie myśleć o wyjeździe i wtedy śliniący się lubieżnie portier, przeglądający całymi godzinami pod ładą świerszczyki powiedział mu, że o dziewiątej jest potańcówka w lokalu „Samotna Gwiazda”, gdzie warto po kozacku wbić, bo występuje tam zazwyczaj dość liczna populacja samiczek w różnym wieku i w różnych rozmiarach.

- Dzięki, człowieku – powiedział Marlon.
- Może chce pan nabyć coś ekstra? Mam tanio johimbinkę. Gwarancja klawego dymanka.
- Seks mnie nie interesuje. Szukam poważnych ofert.
- Ale co szkodzi puknąć towaru, jak nadarza się okazja?
- Nie tym razem.
- Coś pan taki starozakonny?
- Czasami warto pomyśleć głową.

Kiedy lokalny zespół śpiewał właśnie „Congratulations” Rolling Stonesów, wolny, nastrojowy kawałek, podeszła do niego młoda blondynka w okularach, niespecjalnej urody, raczej przeciętna in plus, wyglądająca na pierwszy rzut oka na niespełnioną, zahukaną przez podły świat osóbkę, jednakże emanował od niej jakiś świeży urok i pewnie to sprawiło, że Marlon się zgodził, wszak nie wiadomo, gdzie czeka na niego ta jedyna.

- Mogę cię prosić do tańca? – zapytała.

- Chętnie – odparł, czując się tak, jak czuje się facet, którego rwie kobieta.

Dziewczyna miała na czym siedzieć i czym oddychać, co akurat w tej chwili nie było sprawą priorytetową, ale w dalszym rozrachunku na pewno bardzo się liczyło.

- Skąd jesteś?

- Z Sacramento.

- Co u nas robisz?

- A zwiedzam sobie miasto.

- Długo zostaniesz?

- Jeszcze nie wiem.

Po trzecim tańcu zaczął poważniej się nią interesować. Miała w sobie spokój i nienazwaną niewinność, która zaintrygowała go – czyżby trafił na porządną dziewczynę, co ma poukładane w głowie i wie, o co w życiu tak naprawdę chodzi?

Wtedy zaproponował spacer.

Nie wiedzieć kiedy, wsunęła swoją dłoń w jego i tak szli brzegiem rzeki Kentucky.

Mówił jej, że lubi podziwiać w nocy niebo, patrzeć, jak spadają gwiazdy, szeptać życzenia i potem czekać na moment, kiedy się spełnią, opowiadał, że lubi romantyczną muzykę, dobrą książkę, filmy z Marylin Monroe, kocha dzieci i jest domatorem. Brzydzi się fałszem i obłudą. Ceni uczciwość i prawdomówność. W związku stawia na kompromis i szczere rozmowy. Pamięta o tym, że małe rzeczy znaczą wiele. Nie pije i nie pali. Wierzy w raj po śmierci.

Ona słuchała, a on opowiadał, czerpiąc obficie z bujnej wyobraźni.

Kątem oka patrzył na jej rozmarzone oczy, lecz cały czas zachowywał czujność.

Wtedy odezwała się, jakże lekko i swobodnie:

- A wiesz, co ja lubię?

- No co?

- A lubię „na koguta”.

- Że co?

- „Na koguta” – i powiedziawszy to, nieznacznie opuściła okulary i spojrzała na niego znacząco.

Tak przeszła mu koło nosa kolejna, złota szansa, trzeba był znów ruszyć tyłek i jechać dalej.

Lincoln, Nebraska, 15 września 1966

Grupka szerokich w barach mężczyzn, w drogich, wypasionych garniturach, żywo rozmawiała przy jednym ze stolików w klimatycznej knajpce „Słoneczne Chwile”, co i rusz zamawiając kolejne drinki oraz wykwintne dania, z których słychać ów znany lokal.

- Mój mały tam zagra – powiedział Ojciec Chrzęstny II, szef gangu Tommy Guns.

- Gdzie?

- W Shrine Bowl. Umie dzieciak kopać piłkę. Ma to po mnie.

- Moja córka idzie na studia – odparł Al Pacone, szef gangu Los Desperados.

- Jak to dobrze się kochać i szanować – włączył się do rozmowy rudy typ, na którego wołano Szeregowiec Brian.

- A pamiętacie czasy, kiedy było naprawdę ostro? Wtedy spędziłem w pierdlu ponad rok – rzekła prawa ręka Ojca Chrzęstnego II, Brad Kitt, znany rewolwerowiec i jebaka.

- Tak, wówczas Kolumbijczycy wydymali nas na trefny towar – stęknął znad karkówki John Bambo, weteran z Korei i nie tylko.

- Czasy się zmieniają, ludzie się zmieniają – słowa Ala Pacone poszły w eter pogodnie i naturalnie. – Ale do tego trzeba dorosnąć. Co złe, mamy za sobą.

- Otóż to – potwierdził Ojciec Chrząstny II.
- Z okazji piątej rocznicy zawieszenia między nami broni proponuję toast za Ojca i Ala – wstając, oznajmił Szeregowiec Brian.
- Tak – chórem przytaknęli pozostali.
- No to siup, chłopaki, za kolejne pięć lat – powiedział Al Pacone.
- Ano – dołączył się Ojciec Chrząstny II, gasząc pall malla w popielnicze.

Wtedy to się stało.

Do knajpki wtoczył się, obficie krwawiąc, ranny w rękę mężczyzna.

- Co jest, Denny? – zapytał Brad Kitt.

- Idą... - jęknął przybyły i osunął się na ziemię.

Wszyscy jak jeden mąż porzucili jedzenie i padli na podłogę, szybko wyciągając klamki.

To nie pierwszy raz w ostatnich czasach mieli do czynienia z grupą napalonych na szybki szmal Chińczyków, którzy próbowali jak mogli wysadzić ich z siodła.

Choć działali od niespełna roku, zdążyli już nieco namieszać.

- To te żółte pojeby, Al – szepnął Ojciec Chrząstny II.

- Śledzili nas. Inaczej, skąd by widzieli, że tu jesteśmy? – spytał Al Pacone, wydając wielką spluwę z tłumikiem. – Ale zaraz nafaszeruję ich dobrym, amerykańskim ołowiem.

- Niech no tylko się pokażą – dodał Ojciec Chrząstny II.

- A ty coś za jeden? – spytał nagle Szeregowiec Brian.

- Cibkovsky. Marlon Cibkovsky – odparł nasz bohater, wpatrując się w drzwi lokalu.

- Co tu robisz?

- Leżę.

- Po co?

- Bo nie chcę dostać kulki w łeb.

- Do rzeczy gadasz. A może to ty ich nadałeś?

- Co ty, facet, ja jestem z innej bajki. Tylko przejazdem. Wpadłem na łososia w warzywach.

- A po co żeś tu przyjechał, jeśli można wiedzieć? Może jakiś szemrany tegest szmeger?

- Szukam żony.

- To ma innego gacha?

- Jeszcze jej nie znam.

- I jej szukasz?

- Właśnie dlatego.

- To zgłoś się do Główniarza, on ma cztery siostry, tylko szpetne jak skurwysyn.

- To chyba nie skorzystam.

- Ale to dobre dziewczyny są. Po studiach. Języki znają. Śpiewają i tańczą.

- Ale jak szpetne...

- Albo rybka, albo akwarium.

- Ja to chcę połączyć. Wierzę, że mi się uda.

- Nie tu. Tu rzną się na potęgę od dwunastego roku życia. Taki klimat, to krąży we krwi...

- To jadę dalej. Chyba na mnie już czas – powiedział Marlon i już próbował się podnieść, kiedy do knajpki wtargnęli Chińczycy i otworzyli ogień, niszcząc okrutnie wnętrze lokalu.

- No to patrz, Cibkovsky. Oni nawet nie wiedzą, że mamy tłumiki. Nawet nie wiedzą, gdzie leżymy i skąd padnie strzał – po tych słowach Szeregowiec Brian dość sprawnie położył do wiecznego snu trzech krewkich Azjatów.

Kiedy po chwili do środka wpadło jeszcze trzech, Al Pacone i Ojciec Chrząstny II wysłali ich na łona Pa-

na celnymi trafieniami w samo niskie, poślizgnięte od złości do zachodniego świata czółko.

- Hej, niech któryś skoczy do drzwi i sprawdzi, czy są następni chętni.

Niebawem Brad Kitt rozjaśnił sprawę – na zewnątrz nie było już żywych Chińczyków.

- Alex – Ojciec Chrzystny II zwrócił się do właściciela „Słonecznych Chwil” – wywal to na ulicę i zadzwoń do Mike’a. Od niedawna jest kapitanem. Dobrze mieć kumpli w policji.

- Spoko. Zaraz będzie po krzyku.

Wkrótce, jakby nigdy nic, wrócili do picia i jedzenia.

I wtedy zauważyli Marlona, który dotąd wydawał się mało istotnym dodatkiem.

- A co to za typ? – spytał Al Pacone.

- To Cibkovsky – powiedział Szeregowiec Brian. – Szuka tu żony.

- Żony? Tu, w tej kurwiarni?

- Jeżdżę po całych Stanach – odparł nasz bohater.

- To może dlatego jej nie możesz znaleźć, że jeździsz po całych Stanach, co, mały? – zagadał Ojciec Chrzystny II. – Może warto nie jeździć, a skupić się na lokalnej społeczności?

- Moja okolica od lat jest pustynią.

- Tak cię przypiliło?

- Coś w tym rodzaju.

- To nie możesz żyć bez żony?

- Muszę ją znaleźć.

- Ostry zawodnik – zaśmiał się John Bambo. – Pewnie ci się uda. Masz błysk w oku.

- A i nie taki ostatni. Facjata niczego sobie – przytaknął Brad Kitt.

- Ty, tylko bez podrywania chłopaków w mojej obecności. Rób to po godzinach, jasne? – wtrącił się Al Pacone.

- Jasne, szefie, tylko tak gadam.

- Napijesz się z nami, Cibkovsky? Mamy akurat mały jubileusz. Ważna chwila.

- Oczywiście. Dzięki za zaproszenie.

- No ta za zwycięstwo nad żółtym szaleństwem – powiedział Ojciec Chrzystny II.

- A jak! – zawołali wszyscy, podnosząc się z krzeseł.

Po paru godzinach tęgiego chłania i obżerania się czym popadnie, Marlon wracał do hotelu w limuzynie Ala Pacone, który miał akurat po drodze do domu.

- Ty wał do Columbus w Ohio. Tam to są podobno laski. Coś pewnie wyrwiesz. W końcu masz spinę, nie?

- Jak cholera – wybełkotał Marlon.

- I kieruj się instynktem. Jak poczujesz, że ci się gadka układa, to znaczy, że to ta. I unikaj ruchawic, to lichota, żaden tam materiał na żonę. Możesz ją walić w krzakach, ale nic ponadto.

- Zapamiętam sobie, panie Al.

- No. To na razie.

- Na razie, i dzięki za wszystko.

- Powodzenia, Cibkovsky!

Columbus, Ohio, 3 października 1966

Kiedy wjeżdżał do miasta, minął akurat wóz z Amiszami, ciągnięty przez siwego konia.

Wyłączył radio, w którym Rolling Stonesi śpiewali właśnie „Satisfaction”, by mieć lepszy ogłód sprawy – wszak na obcym terenie warto mieć oczy szeroko otwarte.

Szybko otworzył okno i krzyknął:

- Hej, ludzie, gdzie tu szukać fajnych babek? Tylko takich na poziomie, łapiesz?
- Niech Pan wybaczy ci twoje grzechy, synu, co błędzisz w ciemności umysłu swego... - wymamrotał woźnica w wielkim, czarnym kapeluszu.
- Czyli gdzie jechać?
- Bo piekło już załęgło się w duszy twej. Poruszasz się pojazdem, który stworzyły demony.
- Człowieku, masz jakieś zamiary?
- A szatan już czeka, byś wstąpił w niego pewnym krokiem...
- Czyli do centrum?
- A los ich jeden...

Komitety zebrały się w parku, i wystawiwszy transparenty, ruszyły spokojnie na ulicę.

Hasła niebywale działały na wyobraźnię, jak to zwykle w świecie polityki bywa.

A więc mieliśmy:

Koniec z bezrobociem! Niech każdy zarabia własną ręką!

Rząd won! My damy ci to, czego nie dała ci matka i inni, którym nie zależało!

Żyj godnie na zasiłku! Nie czuj, że w Azji jest prawdziwa Ameryka!

Szacun dla weteranów z Wietnamu – w końcu walka z komunizmem wymaga jaj!

Jeśli sąsiad zabiera ci żonę, zabierz jego konto bankowe!

Na stare lata nie żyj w nędzy – jedź do Bułgarii, tam za dolca przeżyjesz cały dzień!

Alkohol tańszy niż dziś – każdy lubi poczuć się, jakby ten świat był naprawdę idealny!

Ble, ble, ble...

- Czy pan jest za czy przeciw? Proszę o głos w sprawie przyszłości Ameryki, naszej Ameryki – zapytała go rasowa brunetka z naręczem ulotek w ręku.

Marlon siedział właśnie na obiad do pobliskiej restauracji „Krzyk Smaku”, kiedy usłyszał to pytanie.

Prawdę mówiąc, miał to gdzieś.

Szukał żony, nie polityki, i był cholernie głodny, więc jakakolwiek gadka nie wchodziła w grę.

- Nie mam czasu.
- Czyli panu, że tak powiem, zwisa, co stanie się z nami jutro?
- Nie wiem, co z panią, ale ja pewnie będę na tym samym wózku, moim wózku.
- Ach tak! Kolejny ignorant! Pan patrzy tylko na swój, partykularny interes.
- Interes to ja mam w spodniach, kotku.
- A więc seksoholik! Ojej! Kolejny dziś, na tej ulicy.
- To wal na inną. Może tam kupią twój wyborczy szajs, laluniu.

Nagle schowała ulotki do torby i zagadała innym głosem:

- No dobra, dobra. Już jestem sobą. To tylko kamuflaż. Ta cała zaszracona polityka. Szukam męża. Dobrego męża, co mnie pokocha z całym dobrobytem inwentarza. Mam wady, kto ich nie ma? Mam już prawie czterdziestkę, a koleżanki urodziły już małe przedszkole dzieci. Och! Jakież to smutne, jakież dla mnie bolesne. Mój przyszły mąż nie musi mieć dwóch metrów wzrostu i wielkiego penisa, o nie, chcę być szczerą, bardzo szczerą, musi mnie kochać, och, i to jak, bardzo, każdego dnia i każdej nocy! Jestem tu, by znaleźć mężczyznę mych snów! Tak, tak! To się zdarzy. To jest mi pisane! Już cię kocham, mój miły!

- Przepraszam. W towarzystwie kobiet nigdy nie bluzgam, ale...

- Co ale?
- Pani, za przeproszeniem, pieprzy.
- Czyżbym była zboczona?
- Nie o to akurat chodzi. Pani pieprzy trzy po trzy.
- Ja wierzę w to, co mówię.
- Pani pieprzy. Jestem tego pewien.
- A jak?
- Patrząc tak na panią, wiem to.
- To mnie nie przekonuje.
- Pomimo to pani pieprzy.
- Kim pan jest?
- Nikim.
- Czyli to może coś z panem jest nie tak?
- Może. Ale ja nie pieprzę.
- A skąd to mogę wiedzieć?
- A rusza mi się tyłek?

Kiedy godzinę później wyjeżdżał z lokalu, nie wiedział, bo wiedzieć nie mógł, co za chwilę zgotuje mu los, ten dziwaczny gracz, grający po bandzie i na przekór logice.

Właśnie dojechał do ronda, i wtedy kostki domina potoczyły się jedna po drugiej.

Pistolet przy głowie wiele znaczy, zwłaszcza gdy trzyma go obca ręka.

- Wypad z baru, chłoptasiu, ruchy, ruchy, raz, raz!
- O co chodzi?
- Zabieramy twój samochód.
- Chwila, koleś...
- Tylko nie koleś, bo w łeb zaliczysz. Zjazd na bazę. Jasne?
- Nie.
- Mam ci przestrzelić kolana?
- Sam se przestrzel. Po co ci mój samochód?
- Nie było pytania.
- Więc o co biega?
- Ten wózek jest już nasz, a ty graj szybkie nogi, bo mnie zaraz wkurw złapie.
- A znasz Ala Pacone i Ojca Chrzęstnego II?
- A tak.
- To moi kumple. Możesz za chwilę mieć ich na karku.
- Nie sądzę. To kawał drogi. Nie będzie im się chciało jechać. Póki co, dymaj w podskokach.
- Skoro nie mam innego wyjścia...

Potem dowiedział się z gazet, że jego całkiem podrzędny samochód posłużył lokalnej mafii do napadu na bank.

Jednak dostali za swoje, i wszyscy wylądowali za kratkami.

Dobrze, że miał w kieszeni dokumenty i forszę.

Jednak coś nie szło, jak iść powinno...

Nagle zrozumiał, że był już chyba wszędzie, w każdej, małej pipidówce, i nigdzie nie znalazł tej, której szukał, jakby cała Ameryka wypięła się na niego wielką, mięsistą dupą.

- Mama miała rację. Ile można lecieć na ręcznym? Jak mogłem tego dotąd nie wiedzieć? Wracam z zaświatów? Tak, wracam na pewno. Ale do czego?

Na dworcu lotniczym w Columbus kupił bilet do Sacramento i poszedł tam, gdzie trzeba.
Zjadł na lotnisku soczystego czisburgera i wysrał się, bo nerwy ostro dały znać o sobie.
Już nie wierzył w to, że znajdzie ją, teraz wiedział, że matka wydziedziczy go na zbity pysk.
Nie miał siły dalej próbować, rozumiał, że Ameryka to kraj dziwek i nic tego nie zmieni.
- A koniec z tym - powiedział, wychodząc z dworcowego kibla. – Zrobiłem, co mogłem.
Miał wszystkiego dość i chciał być szczery.
Był tu i tam, lecz efekt zniechęcał.
Czasem wiesz, kiedy jest koniec.
Zadzwonił do matki i powiedział, że nie znalazł żony, że jest ostatnim frajerem.
Kiedy oponowała, odłożył słuchawkę.
Potem był już na pokładzie.

W samolocie było luksusowo i przytulnie, jak na wsi u dziadka, kiedy świat był jasny.
Jak w willi Papy Hemingwaya, sączącego brandy z gwinta.
Jak w twoich snach, jak tam, gdzie tęcza sięga ziemi.
Wtedy zobaczył jej okrągłe, seksowne kolana.
I nogi, gładkie, opalone, miękkie.
I te zmysłowe, różowe szpilki.
Miły uśmiech i ciepłe spojrzenie, w którym było coś przyciągającego.
Poczuł, że w spodniach robi się za ciasno, poczuł, że wraca z dalekiej podróży donikąd.
Zrozumiał, że od tego nigdy się nie ucieknie, dopóki jest się mężczyzną.

- Mogę się przysiąc? – zapytał bez wahania.
- Ależ oczywiście – odpowiedziała z uśmiechem.
- To kawał czasu. Porozmawiamy?
- Chętnie. A na jaki temat?
- Łowi pani ryby?
- Skąd pan wiedział? Tak się składa, że jestem mistrzynią stanu Kalifornia w połowie suma.
- O! To brzmi oszałamiająco.
- Szczera prawda. Połakomił się na żywca.
- Ja mam na koncie sporego szczupaka.
- Na co wziął?
- Na obrotówkę numer trzy, ze skrzydełkiem w czerwone paski.
- Pięknie.
- Czy pani jest mężatką?
- Nie.
- Z Sacramento?
- Tak. Mieszkam blisko lotniska.
- Ja też.
- Poważnie?
- Jestem Marlon.
- A ja Susan.

24 października 1966, Sacramento, California

- Ach, ten łajdak Pippo! – krzyknęła z pasją pani Cibkovsky, wachlując się gazetą.

- Przecież mama chciała przepisać mu cały majątek, a mnie wydziedziczyć.
- Co on zrobił! Taki skandal w naszej porządnej rodzinie!
- A co takiego?
- Zostawił naszą słodką Mary dla... kolegi z pracy!
- To ci kaszaniarz jeden.
- Co za ludzie! Czas umierać!
- Może jeszcze nie nadeszła na to pora?
- Co masz na myśli? Tylko mi tu nie kręć, artysto ze spalonego teatru.
- Komu mama teraz przepisze dom, działkę i kabriolet?
- Muszę się poważnie zastanowić. Niedługo poznasz moją decyzję.
- Może nie będzie trzeba.
- Czy ty chcesz mi powiedzieć, że...
- Chciałbym mamie kogoś przedstawić i zaprosić do mnie na obiad w sobotę o siedemnastej.
- Kochany synku! Będę na pewno! Świat jest piękny!
- Cieszę się, mamó, cieszę się bardzo.

2 lipca 2014

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 05.10.2014 09:11

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.